

WSPOMNIENIE O PROF. MICHALE CHOROŚNICKIM

W dzisiejszych czasach zanikają na naszych oczach tradycyjne, akademickie relacje Mistrz–uczeń. Miałem to szczęście i zaszczyt, że blisko dwadzieścia pięć lat temu spotkałem na swojej drodze wyjątkowego Mistrza, jakim był prof. Michał Chorośnicki. Człowieka, który potrafił taką relację stworzyć i podtrzymywać.

Profesor był wyjątkową Osobowością. Bardzo otwartym, obdarzonym wyjątkowym poczuciem humoru człowiekiem. Celnym dowcipem lub ripostą potrafił rozładować najbardziej napiętą atmosferę. Posiadał wielu znajomych, był chyba jednym z nielicznych, o których można powiedzieć, że nie miał wrogów. Jednocześnie potrafił umiejętnie chronić swoją prywatność, zachować swoją przestrzeń, o której tylko nieliczni wiedzieli. Przeprowadził mnie przez wszystkie szczeble akademickiego awansu. Zatem obserwowałem Go jako wykładowcę, promotora, promotora rozprawy doktorskiej, a wreszcie kierownika katedry, w której przygotowywałem habilitację. Na każdym z tych etapów doświadczałem opieki i zainteresowania. Profesor nie był typem „dyktatora”. Stosował zasadę „z niewolnika nie ma dobrego pracownika” – pozwalał swoim podopiecznym na daleko idącą wolność, jeśli chodzi o dobór tematów badań oraz sposób ich realizowania. Nigdy nie uprawiał „frontalnej krytyki”, nie narzucał swojego stanowiska. Mówił: „Ja bym to zrobił tak i tak”, a nie: „Masz to zrobić tak i tak”. Jednocześnie bacznie obserwował postępy i działania, dyskretnie sugerował, na jakie konferencje warto pojechać, z kim warto porozmawiać, co jeszcze warto zrobić. Zawsze w formie propozycji czy aluzji, nigdy poprzez polecenia. Natomiast nigdy nie odmawiał rady ani pomocy, kiedy się do Niego o to zwracałem. Prawie nigdy też niczego nie obiecywał, a jeśli już to zrobił, zawsze dotrzymywał słowa. Ta Jego słowność i poczucie honoru to była wielka wartość, tak już nieczęsta w obecnych czasach, kiedy ludzie nadużywają obietnic, by potem się z nich wycofywać lub „nie pamiętać”, że je złożyli.

Jako przełożony starał się prowadzić zespół własnym przykładem, a nie nakazami. Nawet w trudnych sytuacjach nie zlecał poprawiania za siebie egzaminów studentów, mówiąc, że to jest jego zadanie. Jeden jedyny raz, gdy stan zdrowia zmusił go do zlecenia

takiego zadania, bardzo się tłumaczył, wskazując, że tak się robić nie powinno. Wymagał przede wszystkim od siebie, a dopiero później od innych.

Profesor był osobą o bardzo szerokich zainteresowaniach naukowych i pozanaukowych. Był w naszym Instytucie jednym z prekursorów badań afrykanistycznych, badań nad terroryzmem międzynarodowych oraz studiów strategicznych. Interesował się historią wojskowości, a w szczególności lotnictwa. Bardzo lubił podróże oraz sport. Był zapalonym narciarzem oraz kierowcą (rajdy samochodowe były Jego pasją, którą realizował jako kierowca, pilot, a na końcu jako sędzia). Starał się „zarażać” pasją także swoich wychowanków. Lubiał oryginalne i „nieoczywiste” tematy podejmowane w naszych badaniach. Czasem była to wyrozumiałość dla „naukowych dziwactw” czy poruszania „niszowych tematów”. Nieraz, gdy wspólnie zasiadaliśmy w komisjach do obron prac magisterskich, wyrażał swoje krytyczne opinie na temat „kolejnej pracy na ten sam/podobny temat”, a cieszyły Go próby poruszania przez studentów problemów, którymi nikt dotąd się nie zajmował, nawet jeśli efekt końcowy daleki był od doskonałości. Miał duży szacunek do ludzi, nawet do tych studentów, którzy nie prezentowali zbyt wysokiego poziomu. Podczas ustnych egzaminów oraz obron prac magisterskich zawsze starał się naprowadzić zestresowanych młodych podopiecznych na właściwy trop tak, żeby mogli dostać pozytywną ocenę. Nie lubił natomiast beczelności i głupoty, kiedy ktoś próbował wmówić, że wie lepiej albo że na pewno się nauczył, choć było widać, że nie wziął podręcznika do ręki. Podobnie, siedząc obok Profesora na Radzie Wydziału czy Radzie Instytutu, mogłem nie raz słyszeć dowcipne komentarze na temat coraz bardziej pogłębiającej się biurokratyzacji nauki.

Profesor był doskonałym wykładowcą. Nawet skomplikowane, prawnicze problemy, niedające zbyt wielkiego pola do dywagacji, potrafił okraszyć trafną anegdotą, dowcipem lub przykładem, które na długo pozostają w pamięci. To powodowało, że półtorej godziny wykładu mijało bardzo szybko i chciało się przyjść na następne. Był Profesor mistrzem słowa. Jego wykłady były zawsze wygłaszane z pamięci, piękną, literacką polszczyzną, co jest już dziś coraz rzadsze.

Profesor stworzył w swojej katedrze bardzo bliską, niemal rodzinną atmosferę. Co roku spotykaliśmy się na tradycyjnej, przedświątecznej kolacji. Zawsze wybierał dobry lokal, polecał ciekawe potrawy, zawsze z bardzo dobrym winem. Interesował się naszym prywatnym życiem, doradzał, pomagał. Wspierał mnie w bardzo trudnych chwilach, jakie miałem w ostatnich dwóch latach. W rozmowach z innymi pracownikami katedry zawsze było słyhać sympatię i ciepłe uczucia do naszego Szefa i Mistrza. Emanowała od Niego wielka, kresowa (oboje rodzice Profesora pochodzili ze Stanisławowa) serdeczność.

Dbął o wszechstronny rozwój swoich podopiecznych. Stąd w prywatnych rozmowach często schodził na temat literatury, filmu czy sztuki, dzieląc się swoimi doświadczeniami, zachęcając do lektury. Często w katedrze „pojawiały się” książki z prywatnej biblioteki Profesora, „przypadkiem” zostawiane na naszych biurkach albo na półce w widocznym miejscu. Również w kwestiach motoryzacyjnych był dla mnie niekwestionowanym autorytetem i miał wpływ na moje wybory w tej kwestii.

Pamiętam moje, jak się miało okazać ostatnie, spotkanie z Profesorem. Była to sobota przed świętami Bożego Narodzenia. Profesor proponował kolację, jak zwykle

w dobrym lokalu. Rozmawialiśmy o problemach życiowych, o pracy. Planowaliśmy wspólne wyjazdy na konferencje w Nowym Roku. Przy cygarze w palarni rozmawialiśmy długo o samochodach. Wspominaliśmy. Umówiliśmy się na telefon w Wigilię... Niestety, nie było nam już dane więcej rozmawiać...

Profesor powiedział mi, że jest moim Przyjacielem. Nigdy nie śmiałybym być z Nim po imieniu, ale tę przyjaźń odczuwałem na każdym kroku. Wspierał mnie w trudnym czasie po śmierci Rodziców. Wraz z Jego śmiercią coś się skończyło. Wchodząc do katedry, patrząc na Jego pusty fotel i biurko, wspominam, jak zawsze mogłem przyjść i pogadać... Zawsze coś poradził, potrafił swoim charakterystycznym poczuciem humoru podnieść na duchu.

Spotkanie tak wspaniałego Człowieka, Mistrza, Przyjaciela to był wielki Dar i bezcenne doświadczenie. Bycie Jego wychowankiem to jest bardzo poważne zobowiązanie – był przecież niedościgłym wzorem. Bez Profesora nic już nie będzie takie, jak dawniej.

Aleksander Głogowski